Ner 8. Kraków 15 kwietnia 1868. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiéj Nr. 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

☛ Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **nuty**.

ARTUR GROTGER.

Ustęp z dziejów sztuki polskiéj.

(Ciąg dalszy.)

*
* *

Jeżeli kiedy, to przy rozważaniu tak meteorycznéj, fenomenalnéj postaci jak Grotger, można według zwyczaju biografów, szukać na pewno już w dzieciństwie śladów i oznak jego losów i lotów. Urodzony w r. 1837 okazywał od najmłodszych lat ochotę i talent do rysunku. Ojciec, który sam nie źle rysował, a nawet w wiedeńskiéj akademii sztuk pięknych się kształcił, czuwał nad tą ochotą, rozgrzewał wrodzone zamiłowanie, poprawiał jego bazgraniny i zachęcał nagrodami każdą udatniejszą robótkę, a co najważniejsza, głównie z natury rysować mu kazał. Wtedy położoną została pierwsza podwalina jego talentu. — Rysunek z natury, jak z jednéj strony wprawia do bezpośredniego i prawdziwego pojmowania kształtów i barw — tak z drugiéj strony, nie krępuje woli; sposoby brania się do rzeczy zostawia jéj saméj, zabezpieczając ją zarazem od tyranii szkolnych manier i formułek. — Były to więc ćwiczenia w mechanice rysunkowéj, jakoteż pokarm dla bujnéj wyobraźni.

Rozbudzona duszyczka Artura pomagała sobie i innym sposobem. Przechowała się w rodzinie książeczka, obejmująca dziennik jego wrażeń, a więc i zwierciadło rozwijania się dziesięcioletniego chłopca, którego pierwszym nauczycielem był Juliusz Kossak.

Ojciec odumarł go wcześnie — oddany do szkół nie przestawał rysować; wodnemi farbami malował konie — i ta okoliczność zbliżyła doń jednego z jenerałów austryjackich, stojącego we Lwowie. W r. 1851 wymalował akwarellą wjazd cesarza austr. do Lwowa — gdyż młodziutką wyobraźnię artysty uderzyła liczna świta, ruch i połysk ubiorów. Wskutek téj akwarelli, jak również illustracyi do jednéj z poezyj Szillera, cesarz wyznaczył mu stypendjum 30 guld. miesięcznie.

Stypendjum to rozstrzygnęło o przyszłości Artura — muza malarstwa odsłoniła mu horyzont i ułatwiła nawet codzienny chléb. Tutaj zakończają się chłopięce jego lata, a rozpoczyna pierwsza szkoła życia i pierwsza szkoła sztuki.

W r. 1852 przybył na technikę do Krakowa — zapisał się też i do szkoły sztuk pięknych, którą właśnie objął był prof. Łuszczkiewicz. Pierwsze szkolne roboty szły mu dosyć tępo. Wyobraźnia żywa i już rozwinięta dostarczała mu już gotowych, a pełnych życia obrazów, których wprawdzie nie umiał jeszcze w widome kształty przyoblec, niemniéj jednak suche studja męczyły go i niecierpliwiły. To też w szkole nie wiele pracował — tém więcéj za to w domu malował korzystając z godzin, które mu od innych nauk pozostawały — a malował z pamięci. Zdolność ta pozostała mu i nadal. Z tych czasów pochodzi kilka obrazków jego, które mimo błędów technicznych odznaczają się prawdą, życiem i oryginalnością grupowań. Najważniejsze z nich są:

1) Akwarella, przedstawiająca kilku towarzyszy lekkiéj chorągwi, z których jeden naczerpaną wodę hełmem pije — (własność X. Wł. Sanguszki) i

2) Jakaś bójka ze Szwedami, pierwsza próba olejnemi farbami, która była na wystawie szkolnéj w r. 1853 czy 4.

Wiele też z owych czasów pozostało obrazków jego po rozmaitych panieńskich albumach i w tekach przyjaciół w Krakowie. Była to bowiem natura wielce towarzyska, postać nader sympatyczna i pozyskująca sobie ludzi. Ostre wybitne rysy, wysokie czoło, nos orli, śmiałość i rzutność wzroku i ruchów i w całém zachowaniu się swoboda, obok oryginalności; przymioty te czyniły go wszędzie pożądanym gościem. Lubiał też bywać w towarzystwach i serce jego nasłuchiwało wcześnie, czy biciu jego echo gdzie nie odpowie. Ta towarzyskość pozostała mu na zawsze potrzebą jego życia, a jeżeli często zbyt dużo zabierała mu czasu i trochę zużywała siły, to kiedyindziéj znowu właśnie rozwojowi jego sprzyjała, jak tego dowód na mnóstwie prac misternych i na tych późniejszych serjach obrazów, które nazwał wieczorami zimowemi — jakby na

świadectwo, że wieczór, w kółku samych blizkich, wśród harmonii pokrewnych dusz powstawały.

Wieczory wolne przepędzano razem w pokoiku kolegi Andrzeja Grabowskiego, (przy ulicy szewskiéj). Osiadł obecnie we Lwowie i renomowany jako portrecista, był to wówczas czysty pauper krakowski, dziecko krakowskich tradycyj, serdeczne, a butne i hulaszcze. Zawód ten sam i odpowiednie natury musiały ich obu pociągać do siebie. Więc rysowano tam kredą na tablicy różne improwizacje, w czém Artur był niewyczerpany — po rysunkach, albo czytano historją polską, albo téż opowiadano kolejno rozmaite wypadki i przygody i swoje i cudze; a toć nie ma milszéj pogawędki i serdeczniejszéj uciechy, jak w gronie młodych chłopców, do tego chłopców polskich, do tego artystów. I często w późniejszym życiu, w chwilach osłabienia i pokus, jedno wspomnienie z tego wieku m i ł o ś c i i s w o b o d y, ideałów w i a r y i c n o t y, staje jako Anioł-stróż strzegący posmutniałéj duszy. I niema dla polskiéj dziatwy lepszéj szkoły życia, poświęceń i pracy, jak ich własne towarzystwo, jak ta magnetyczna wzajemność, która wśród nich panuje, i pod któréj wpływem każdy musi się stawać coraz lepszym, żeby się żaden serdeczny druh wstydzić za niego nie potrzebował.

Tak różowo, wesoło, z najlepszemi nadziejami, wśród pomysłów i zamiarów codziennie nowych, upłynęło dwa lata. Następnie Artur mając lat 16 skończonych, wyjechał do Wiednia.

Wyjazd ten rozpoczyna nowy perjod w jego rozwoju. Z ramek szkolnych i z ciasnego kółka przyjaciół wybiega w szeroki świat — człowiek wstępuje w życie — a dusza artysty, odbywszy terminowanie w krakowskiéj szkole, odbywa teraz wędrówkę jako czeladnik po różnych warsztatach, to jest w wszelkich kierunkach malarstwa — odbywa swoją własną szkołę, nie już w akademii; ale szkoła artysty jest zarazem szkołą życia. — Sztuka, która dotąd tylko mu się uśmiechała, staje się ogromną drabiną, po któréj trzeba się spinać — życie motyle wstępuje w jarzmo obowiązków i sztuka musi jako praca, jako zarobek podawać rękę życiu. Wśród tych stosunków urasta chłopiec na obywatela patriotę — uczeń staje się mistrzem, wynajduje swoje własne kierunki: maca i bada i rozgląda się, aż sobie powiedział: jestem. Najważniejszy to ustęp z tego krótkiego a pełnego życia.

(Ciąg d. n.)

LASY,

PRZEZ DEOTYMĘ,

(Dokończenie.)

II.

T e r a z.

Dziś albo wczoraj podróżnik wesoły
Gwiżdżąc szedł rączo po skarlałym lesie.
Gdzie tylko echo szmer stopy rozniesie,
Liście się trzęsą i bledną żywioły....
Jakże im nie drżeć? Rzesza leśnych bogów,
Dzisiaj ma w ludziach wszech-potężnych wrogów.

Kraj się rozlega niezmierną równiną,
Gdzie kłosy morzem złotodajném płyną;
Ziemia wioskami jak trawą porasta,
Wyżéj jak drzewa rozrosły się miasta;
Drapieżnych zwierząt szukaj po zwierzyńcach,
Wiele już przeszło na bajeczne dziwo.
Strach nie śmie chodzić po bitych gościńcach,
Gdzie para pędzi, wywijając grzywą.

Człowiek Tytanem rozparł się na świecie;
Przyszła dla niego odwetu godzina!
Jak chce, żywioły do jarzma nagina.
Cóż, kiedy miary nie zaznał w odwecie!
Puszcza umiera... dla kuźnic olbrzyma
Trzeba paliwa; — topór się zawzina...
Hufcami pada odwieczna gęstwina —
Gaju świętego pod słońcem już nie ma!

Mieszkańcy leśni pierzchają bezładnie,
Ledwo gdzie-nie-gdzie znajdą jeszcze knieję
Na wskroś przejrzystą. I ta jutro padnie;
Więc gąszcz na widok człowieka truchleje.

Co za kształt mignął w oczach podróżnika?
Czy to duch lasu? To cień jego raczéj!
Ludzkiego wzroku jakby zbieg unika...
Skroń ma strzaskaną piorunem rozpaczy,
Ów płaszcz bezmierny gdzieś rozwiał się wszystek;
Na sercu tylko ciśnie zwiędły listek,
Ciągnie się zwolna jak czas dla boleści,
Co chwila staje i jęcząc szeleści:

„Oto nadszedł dzień żałoby,
„Wkrótce ludzie świat przemienią
„W same łany, lasów groby —
„Obchodźmy z każdą jesienią,
„Niewymowny dzień żałoby!“

Las się podrywa, zielony włos targa,
Wszystkie gałęzie załamują ręce —
Krynice łkają, i głosy ptaszęce
W niebo jak jedna wylatują skarga.

A ty wędrowcze? Jeśli ś synem pieśni,
Lub rozkochanym przyrody badaczem,
Wzruszą twe serce ci płaczkowie leśni —
I ty pod drzewem zatrzymasz się z płaczem.

Lecz jeśli duch twój nic już nie rozumie
Z głosów przyrody, pójdziesz w dalszą drogę,
Ni się domyślisz, że łzy są w tym szumie!
A las ci szemrząc tę rzuci przestrogę:

„Do twéj litości prawo utracone...
„I jam się nie dał wzruszyć twoim głosem!
„Ale ci wołam: Szanuj mą koronę
„Przez litość nad własnym losem.

„Spojrzyj na kraje sławne z dawnych czasów:
„Były podobne sadowi złotemu,
„Dzisiaj z nich żółte pustynie... i czemu?
„Topór im zdjął wieniec lasów.

„My jakby mury bronim twierdzy świata,
„Z upadkiem murów, padł i dom człowieka;
„Piasek go zalał, wicher po nim lata,
„Deszcz z jego nieba ucieka!

„Dziś inne kraje kwitną; — i tym krajom,
„Jeśli nas zdepczą, taż dola zagraża.
„Kapłanie ziemi! Strzeż jéj jak ołtarza —
„I przywróć świętość jéj gajom“.

III.

K i e d y ś.

Kiedyś, nie prędko, za tysiąc lat może,
Gdy człowiek wejdzie z przyrodą w rozmowę,
I lasy dla niéj wychoduje nowe,
O wtedy! ledwie pokaże się w borze —
„Witaj!“ zawoła ptaszek zachwycony,
Wiewiórka sama skoczy mu na ramię,
Soczysty owoc sam się dłań odłamie,
I gąszcz mu cały będzie bił pokłony.

Duch lasu, jasny, z szatą powłóczystą,
Którą sam człowiek utkał mu wzorzysto,
Zbiegnie ku niemu, pokaże mu lica,
Z których się ztarło słowo: tajemnica —
I ręka w rękę spocząwszy po trudzie,
Zawoła: „Radość! Żywioły i ludzie,
„Radość wam głoszę! Zchodźcie się na gody
„Ducha ludzkiego i ducha przyrody“.

SYRENA.

(POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA.)

(Ciąg dalszy.)

Wasyla nie było jeszcze w domu; Nuryn nie uważał jednak tego, wszedł bowiem w towarzystwie przykrych myśli, które całą jego uwagę zajęły. Parę godzin przedtém doniesiono mu, że doktór R. nie żyje. Spełniło się więc to, co chciał; jednak wiadomość ta zamiast go zadowolnić i uspokoić, przeraziła go i obudziła gryzące wyrzuty sumienia. Nuryn w gruncie nie był złym człowiekiem, pod szorstką pokrywą jego dumy spały szlachetne instynkta; to też śmierć człowieka, który padł głównie za jego sądem, zaciężyła jak ołów w sumieniu Nuryna, obudziła w nim skrupuły, czy słusznie wydał wyrok potępiający, czy nim wtedy powodowały wyłącznie względy na sprawę publiczną. Niestety! na wszystkie te pytania musiał odpowiedzieć sobie: n i e i uczuł się winnym. Dotąd zemsta zaślepiała go — teraz ugasił ją we krwi człowieka, którego nienawidził — przejrzał jasno i zadrżał przed sobą samym. Dziwny niepokój go ogarnął, samotność przerażała go, cisza nocna panująca w pokoju wydawała mu się straszną — nie śmiał spojrzeć po za siebie, zdawało mu się, że krwawe widmo niewinnie zamordowanego musi być gdzieś blisko niego i grozi mu.

— Wasyl! — zawołał w przestrachu.

Nikt nie odpowiadał.

— Wasyl — powtórzył Nuryn zmięszany milczeniem. — Wasyl obstawał za tym człowiekiem, Wasył chciał go ocalić. Teraz po spełnionym czynie widział, że byłby dobrze zrobił, gdyby poszedł za radą sługi. Pragnął więc z nim rozmawiać, w téj rozmowie znaleść uspokojenie i rozgrzeszenie.

On zwykle taki milczący, ponury — teraz czuł potrzebę ludzkiego głosu; to też kiedy usłyszał na schodach kroki, ucieszył się i wcale nie myślał karcić sługi za tak długą nieobecność.

Drzwi się otwarły z łoskotem i wszedł, a raczéj wtoczył się do izby Wasyl, z wzrokiem szklannym, policzkami rozrumienionemi jak karmazyn; okrągła czapka kipiała nad lewém uchem z fantazją, minę miał gęstą. Nuryn spojrzał z zdziwieniem na starego, nigdy nie widział go w podobnym stanie. Ten wzrok pana otrzeźwił nieco sługę — stanął, wyprostował się i chwiejąc się, czekał z trwogą co daléj będzie. Nuryn jednak nie łajał przeciw zwyczajowi; ale wstawszy przystąpił do niego i kładąc rękę na ramieniu, odezwał się:

— Wasyl, co się z tobą stało?

Serdeczny ton tych słów przeszedł jak iskra po ciele starego żołnierza — wzruszył go i Wasyl rozpłakał się głośnym płaczem.

— To z rozpaczy tak, panie. Piję na frasunek — rzekł i machnąwszy ręką, potoczył się na stołek pod ścianę.

— Mój Boże, ani ja dzieci, ani ja żony — lamentował dalej — i czemu, czy ja gorszy od drugich? — Hę? — A czemu tamci tacy szczęśliwi, tak im dobrze było w lichéj izbinie — byli razem.

— O kim mówisz Wasylu?

— O kim? Albo ja wiem. Jakiś rzemieślnik z poczerniałą twarzą, z spracowanemi rękami siedział przy stole — dzieci jak pijawki czepiały się miłośnie jego nóg i rąk — żona nalewała mu posiłek i uśmiechała się do niego — widziałem to wszystko przez okno z ulicy. Mój Boże, jak szczęśliwy musi być ten człowiek — ma rodzinę. A ja nikogo, nikogo — dodał zrywając się i ściskając pięście. Ta i poszedłem pić na frasunek, bo dla kogo mnie żyć? Zapiję się, zapomnę i zgniję gdzie pod ławą w szynku, pies po mnie nie zapłacze. Nikogo nie mam, nikogo.

Załamał ręce i tłukł głową o ściany.

— I ty narzekasz, lamentujesz głupcze — rzekł Nuryn z bolesną ironiją — a co ja mam powiedzieć? Ty przynajmniéj możesz powiedzieć, żeś miał żonę, że przyciskałeś kiedyś twe dzieci do piersi — żeś miał choć trochę, choć odrobinę szczęścia, żeś zakosztował rodzinnego życia. A ja całe życie jestem sam — ani znam uścisku matki, ani widziałem twarzy ojca. Rozumiesz ty stary, co to jest. Tak sam, jak palec.

— Sam, sam — mruczał niezrozumiale żołnierz, którego powieki już senność obciążała.

Nuryn nie uważał tego i mówił daléj:

— Znaleziono mnie na gościńcu porzuconego, płaczącego — obcy ludzie chowali, poszturchali, bili i jeść dawali — ot zwyczajnie jak przybłędzie, jak znajdzie A jednak nie skarżę się, bo i po co? Kto mi powie, gdzie moi rodzice?

Ponury wzrok Nuryna zaszklił się w téj chwili łzami, zakrył twarz rękami i zawołał z jękiem:

— Boże, gdybym ja mógł wiedzieć gdzie oni, gdybym ja mógł uścisnąć matkę moją, tę matkę, co mnie porzuciła jak szczenię — a którą ja przecież tak kocham w myślach moich, w snach moich. Nie takby przy niéj szło mi to życie jak teraz. Patrz Wasyl! — to jedyna pamiątka po niéj — ten szkaplerz. (Tu wyjął z za nadrza stary, wytarty płatek sukienny). Ludzie, którzy mnie znaleźli na drodze mówili mi, że ten szkaplerz wisiał wtedy na moich piersiach. Może to jéj ręce szyły na nim dzień i rok moich urodzin. To też wytarłem go do szaréj nitki pocałunkami memi; i chowam jak relikwije święte.

— Patrz Wasylu — i powiedz, który z nas szczęśliwszy?

Ale Wasyl już nic nie widział i nie słyszał. Głowa odurzona trunkiem upadła ciężka na piersi — a mocne chrapanie było jedyną odpowiedzią na pytanie Nuryna.

VI.

Sielanka wśród burzy.

Niezwyczajnie zaczął się u nas rok 1863. — natura potargała swoje odwieczne prawa i przybliżyła nam wiosnę. Już w połowie lutego ciepłe promienie słońca topiły śniegi i ogrzewały ziemię, na któréj rozpoczął się krwawy dramat powstania. Tę wczesną wiosnę wszyscy brali za szczęśliwą wróżbę, nie jedną modlitwą dziękowano Bogu za tę pomoc cudowną, zesłaną naszym odziałom tułającym się po lasach. Niestety, niezadługo nadzieje nasze pochowały się wraz z promykami słońca; nastała znowu zima, zawody i zwątpienie; lecz to już nie należy w zakres naszéj powieści.

Otóż w jednym pięknym dniu téj zwodniczéj wiosny, w domku ustronnym przy ulicy Chmielnéj otwarto jednę połowę okienka dla świeżego powietrza i ciepłego słońca. Przy okienku za geraniją i firankami widać było dwie głowy kobiece pochylone nad robotą, jedna jasna miała z grubych warkoczy przetkanych czarną aksamitką rodzaj wieńca nad czołem; drugiéj ciemne włosy rzedniejące już środkiem głowy, okrywał czarny tiulowy czepeczek. Była to Helenka i jéj matka. Pierwszéj twarzyczka obok zwykłéj bladości miała wyraz głębokiego smutku; powieki miała zmęczone jakby płaczem lub bezsennością, i dość mizernie wyglądała. Obie kobiety pracowały z zajęciem i nie pragnęły wcale przerywać milczenia; było coś między niemi, co zamykało usta i rwało rozmowę. — Naraz Helenka przerwała robotę, opuściła rączki na dół i pilnie czegoś nasłuchiwała. Brzękła furtka w ogrodzie.

— Zapewne doktór wyszedł — rzekła żywo.

— Zapewne, odrzekła matka obojętnie, poważnie.

Za chwilę zaskrzypiały schodki prowadzące z ogrodu na ganek i stara służąca weszła na górę. Zaledwie otworzyła drzwi do pokoju, Helenka zwróciła się do niéj żywo i spytała:

— I cóż doktór powiedział?

Matka spojrzała na córkę wzrokiem napominającym i nieco surowym: Helenka jednak nie uważała tego, zapatrzona na służącą i niespokojnie wyczekując jéj odpowiedzi.

— Powiedział, że gorączka jeszcze kilka dni potrwa, ale już niebezpieczeństwa nie ma.

— A czyś go się nie pytała — odezwała się matka — czy chorego można już kazać odwieść do jego mieszkania.

— Zabronił stanowczo.

Matka zmarszczyła brwi, córka zwróciła na nią spojrzenie pokorne, błagalne.

— Mamo — odezwała się — czy tak bardzo żałujesz, żeś dała pod swoim dachem schronienie temu nieszczęśliwemu?

— Podłemu — odrzekła matka półgłosem i niecierpliwie poprawiła się na stołku.

Helenka spuściła na dół głowę i umilkła.

— Nie, dłużéj go tutaj trzymać niepodobna, wyglądamy jak wspólniczki tego zdrajcy.

— Doktór mówił — odezwała się służąca — że wszelki ruch grozi choremu śmiercią.

— Słyszysz mamo? O, ty nie będziesz tak okrutną dla tego człowieka, który ei ocalił córkę — prosiła całując jéj ręce.

— A zdradził tylu.

— Co nam w to wglądać. Mężczyźni się biją, walczą, zdradzają, nienawidzą, więżą — kobieta kochać tylko i pomoc i pociechę nieść winna — to jéj przeznaczenie.

— Ależ on zgubi nas. Wszak wiesz, kto tu u nas bywa; jeżeli ten człowiek przyszedłszy do zdrowia podpatrzy ich tajne schadzki tutaj — zgubi ich i nas.

— On nie jest takim złym człowiekiem — rzekła Helenka z przekonaniem.

— A ta kartka u sztyletu.

— Może to pomyłka jaka straszna — a może... kto wie, co go pchnąć mogło do tego kroku.

— Tyś go już rozgrzeszyła.

— Przebaczyłam mu tylko, bo wszak mnie tak uczyłaś. A temu człowiekowi przebaczyć było mi łatwiéj, niż komu innemu.

Matka spojrzała badawczo na córkę.

— Helenko! odezwała się surowo.

Helenka zarumieniła się i spuściła oczy.

— Marto, proszę cię, nie mów mi już więcéj nigdy o tym człowieku. Oddałam ci go zupełnie. Czuwaj nad nim. Skoro przyjdzie do sił i przytomności, każesz go odwieść do jego mieszkania. Ja nie chcę o nim wiedzieć. I Helenka nie powinna także — dodała z przyciskiem.

Na tém urwała się rozmowa o doktorze R., który od czasu owego strasznego wypadku leżał w dolném pomieszkaniu małego domku na ustroniu bez przytomności i jakiś czas nawet bez nadziei życia. Widzieliśmy, jak niechętnie udzieliła mu przytułku matka Helenki, kobieta surowych zasad, posuniętych do egzaltacyi. Dla niéj świat cały dzielił się na szlachetnych i podłych; dla pierwszych miała bezgraniczne uwielbienie, dla drugich pogardę. Helenka lubo w tych samych zasadach wychowana, odstępowała jednak od nich nieco; wrodzona słodycz i łagodność zrobiły ją tolerantką; usprawiedliwiała wiele i wiele przebaczyć umiała. Téj słodyczy charakteru zawdzięczał doktór R. opiekę, jaką doznawał w domu tych kobiet. On jednak sam nie wiedział o tém, gdzie się znajduje; raz dla tego, że silna i nieustająca gorączka trzymała go wciąż w nieprzytomnym stanie — a powtóre, że ani Helenka, a tém mniéj jéj matka nie pokazały się w mieszkaniu chorego. Helenkę takie postępowanie wiele kosztować musiało; ona tak skłonna do litości, do niesienia pomocy, nie mogła jéj nieść temu, dla którego miała nawet pewne obowiązki. Zadawala jednak ten gwałt sobie, czyniąc wolę matki. — I dziś nie rozpoczynała już więcéj rozmowy o doktorze, nie zdradziła się niczém, że ją jego zdrowie obchodzi.

Ale kiedy matka wieczorem usnęła Helenka wstała z przed łóżka, przy którém klęcząc modliła się, cichaczem wysunęła się do sionki, zeszła ostrożnie po schodach na dół — do izby Marty. Stara służąca drzemała na ławie oparta o piec. Helenka zbudziła ją, dotykając z lekka jéj ramienia.

— I cóż, byłaś u niego? — spytała.

— Byłam przed chwilą panienko — śpi.

— Czy to prawda, co doktór mówił, że nie ma niebezpieczeństwa? — Powiedz Marto czy mnie tylko nie zwodzisz?

— Nie — ma się znacznie lepiéj od owéj nocy, w któréj go panienka widziałaś rzucającego się w gorączce i rozrywającego bandaże na piersiach.

— O, to była noc okropna. Com ja wtedy cierpiała moja Marto.

— I mnie go żal było, bo to zdaje się dobry człowiek. Nie wiem co nasza pani ma przeciw niemu.

— Zarzucają mu wiele rzeczy, a najgorzéj potępił się tém, że go spotkano pod naszym domem śledzącego schadzkę spiskowych. — Wszystko mówi przeciw niemu, prócz mego serca. — Chodźmy Marto pod okno zobaczę jak się ma — to mnie uspokoi.

Wyszły na ogród — Helenka odsunęła gałązki krzaków otaczających ścieszkę i podeszła pod okno. — Marta stanęła za nią.

W pokoiku, w którym paliła się przyćmiona nieco lampa — leżał chory; na twarzy miał silne, gorączkowe rumieńce, oddychał szybko i głośno, robiąc przytém piersiami, od czasu do czasu jakieś bezładne, urywane słowa wyrzucał z siebie. Wśród tych słów Helenka, stojąca za oknem z zapartym oddechem, usłyszała swoje imię.

— To imię — rzekła pocichu Marta — często wymawia.

Helenka zapłoniła się, udała, że nie słyszy słów staréj sługi i nie odpowiadając na nie, odeszła od okna.

— Już iść muszę, żeby mama nie spostrzegła mojéj nieobecności; ale ty Marto czuwaj przy nim. Czy doktór zapisał nowe lekarstwo?

— Kazał powtórzyć tę maść.

— Poczekaj — sama mu ją przyrządzę.

Weszła napowrót do izdebki służącéj, zakasała rę-

kawki i zabrała się do rozsmarowania maści; potém wyjęła z kieszonki zawiniątko jakieś i rzekła:

— Tu są bandaże i szarpie.

Potém pocichu wysunęła się z izby i wróciła na górę. Księżyc przez gieranie i firanki zaglądał do pokoju i posrebrzał podłogę i pust łóżeczko, na którém Helenka zamyślona usiadła. Długo jeszcze potém siedziała w tém srebrzystém oświetleniu, z rączkami założonemi na kolanie i zamyślonemi oczami.

— O czém ona dumała?

Bóg wie jakie tam obrazy i myśli przesuwały się po główce dziewczyny marzącéj przy świetle księżyca, to tylko pewne, że wszystkie kołowały koło tego jednego pytania: o jakiéj Helence mówił chory przez sen.

Tymczasem na dole inna odbywała się scena. Twardy sen chorego był przesileniem choroby, po którym przytomność wracać poczęła. Chory obudziwszy się, z zdziwieniem spojrzał w koło, ujrzał się w nieznaném sobie zupełnie miejscu — sam; a jednak z całego otoczenia mógł się domyślać, że staranna ręka jakaś czuwała koło niego. Spojrzał w okno — zobaczył nagie gałęzie drzew, odbijające się na tle jasnéj nocy — ogród. Chciał się podnieść, ale nie mógł, — rany w piersiach zabolały go. Wtedy przypomniał sobie dopiero ów wieczór nieszczęsny, w którym uciekał przed grożącém mu niebezpieczeństwem, ów napad dwóch ludzi. Pokiwał smutnie głową i westchnął boleśnie.

— Więc to prawda — rzekł półgłosem.

Wtedy weszła Marta z plastrami; spojrzał na nią i spytał:

— Dobra kobiete, gdzież ja jestem?

— U mnie.

— Jakże się to stało? — O ile sobie przypominam, padłem pod jakąś furtką.

— Tego nie wiem. Jakichś dwóch ludzi przyniesło pana do mnie i kazali pielęgnować.

— Dwóch ludzi — a to dziwne i nieodgadnione zarazem. Jestem widzę ofiarą jakiejś strasznéj pomyłki. — I dawno ja tak leżę?

— Od dwóch tygodni.

— Więc powstanie już rozpocząć się musiało?

— Już.

— Boże, a ja tutaj tak leżę bezczynnie, gnuśnie.— Oh! —

— Więc pan nie jesteś złym człowiekiem? — spytała nieśmiała kobiecina.

— Oni ci to powiedzieli — ci dwaj ludzie — co? Ty ich znać musisz, oni tu może byli u ciebie pytać się o mnie, o, na Boga, jeżeli ich znasz, idź, sprowadź ich tu do mnie — wyspowiadam się im z każdéj myśli, z każdego słowa i czynu mego, a wiem, że mnie nie potępią. Jestem tylko ofiarą jakichś ciemnych, nieodgadnionych intryg.

— O, to dobrze, i panienka nasza to samo mówiła, Ona się ucieszy.

Chory spojrzał na nią zdziwionemi oczami — służąca spostrzegła się i zmięszała.

— Panienka, jaka panienka? O kim mówisz?

— Ot, tak się plecie staréj, nie uważaj pan na moje gadanie.

— Znowu tajemnica? Wszystko się plącze i wikła koło mnie jak niewyraźny gorączkowy sen. Raz przecie chcę widzieć, czy ja śnię, czy rzeczywistość mam przed oczami. Chcę wiedzieć gdzie jestem.

To mówiąc, usiłował zerwać się z łóżka.

Stara Marta wstrzymała go z przestrachem.

— Co pan robisz?

— Chcę wiedzieć co się ze mną dzieje, gdzie jestem, kto się mną zajmuje — puść mnie!

— Jesteś pan u pani Milowskiéj.

— To nie prawda — wołał szamocąc się z Martą. — Gorączka wzmagała się, oczy jego nabierały dziwnego blasku. Służąca nie wiedziała co począć.

— Pani Milowska jest matką p. Heleny — mówiła chcąc go uspokoić.

— Heleny — powtórzył jak echo nieprzytomny — więc i one mnie potępiły. — Boże!

Ostatnie słowo jęknął z nieopisaną boleścią i upadł na łóżko. (C. d. n.)

Jagiellonki Polskie.

W XVI. WIEKU.

(Ciąg dal.)

Jadwiga córka Zygmunta I. po Barbarze wydaną została za Joachima II. kurfirszta brandeburgskiego r. 1534. Liczyła ona wtedy lat 21. Wedle paktów małżeńskich posagu naznaczył król Zygmunt 32000 czerwonych złotych. Żal było trochę Zygmuntowi wysełać ukochaną córkę do obcego kraju, w którym nowinki luterskie rozszerzały się już znakomicie; wysłał też Achacego Czencę kasztelana gdańskiego do kardynała Albrechta z instrukcyją dotyczącą Jadwigi, w któréj uprasza, żeby Jadwiga mogła trzymać przy sobie ludzi obojéj płci z ziomków swoich mówiących jéj językiem.

We trzy lata późniéj w tymże samym zamku krakowskim odbyło się wesele drugiéj córki królewskiéj 20letniéj Izabelli, dziewicy dzielnego i wykształconego umysłu, a która łączyła w sobie wdzięk Włoszki z pięknością Polki. W języku łacińskim kształciła się pod sławnym ówczesnym gramatykiem Hanterusem (Grassem). Zaślubił ją przez poselstwo Janusz Zapolya, spółzawodnik Ferdynanda do królestwa Węgierskiego. Gdy wyjeżdżała na niepewne królestwo węgierskie,

miał rzec do króla Zygmunta Stańczyk błazen nadworny: „Królu! pocóż ty tam córkę twą do Węgier dajesz? Być Ci jéj tu zaś u Ciebie, a przeto zbuduj wczas jéj kamienicę tu w Krakowie, żeby miała gdzie mieszkać“. Smutne koleje przechodziła Izabella. W r. 1540 powiła syna Janusza; lecz wkrótce potém mąż jéj Jan, wojennemi trudami znużony, używając kuracyi w przyjemnéj i zdrowéj okolicy miasteczka Szasz-Szebesz — na uczcie, na któréj zdawał się do sił przychodzić, upadł z krzesła i nazajutrz żywot zakończył. Mnóstwo kłopotów zwaliło się z tą śmiercią na biedną wdowę, na któréj spełniła się przepowiednia Stańczyka, bo z synkiem sierotą zmuszoną była wskutek wojny opuścić Węgry i zjechać wreszcie do Krakowa.

Rej w swoim Zwierzyńcu pisał o niéj niezbyt grzecznemi słowy:

Izabella z narodu zacnego polskiego,
Dziewka onego króla Zygmunta sławnego;
Potém była została węgierską królową —
A wiele światem trzęsła w młodości swą głową.

Króle, sami książęta, a snadź i pogani
Mieli z nią pracy dosyć, dziwna była Pani;
Ale jako dawno brzmią stare przypowieści,
Przedsię na cieńkiéj nici ten rozum niewieści.

Trzy młodsze królewne: Zofija, Anna i Katarzyna, spędzając panieńskie lata przy matce, nie miały czego zazdrościć starszym zamężnym siostrom.

Zygmunta Augusta już w dziesiątym roku życia, koronowanego na króla polskiego pod imieniem Zygmunta II., zaręczono z Elżbietą Rakuską, 4-letnią córką Ferdynanda i Anny Jagiellonki, córki Władysława króla Czeskiego i Węgierskiego. — Uroczyste zaręczyny odbyły się 14 grudnia 1535 r. kiedy Elżbieta miała już ukończony rok dziewiąty. — W r. 1538 zawarto kontrakt ślubny, i mimo intryg Bony, 6 maja 1543 odbył się ślub i koronacyja młodéj królowéj w Krakowie.

W pięknym wierszu opiewał wdzięki młodéj królowéj, jeszcze przed jéj przybyciem do Krakowa, Klemens Janicki:

Siodłać lotne rumaki! jedź pogoni chyża
Auguście! oto rzymska królowa się zbliża.
Wyjedź na jéj spotkanie: ta dziewica hoża
Godna być uczestniczką królewskiego łoża;
Bowiem z takiego domu, z takiéj krwi pochodzi,
W jakiéj ci jeno szukać małżonki się godzi.
Urodą tak kształtowna, tak piękna, że pewnie
Żadna z niewiast nie zdoła dorównać królewnie.
Nie słowom cudzym wierzę, lecz własnéj źrenicy:
Bom ją widział przed laty w wiedeńskiéj stolicy;
Widziałem jak dziecina wspaniale przybrana
Szła z matką do świątyni świętego Szczepana.
Z oczu jéj promień strzelał, a skromność dziewicza
Szkarłaciła jagody pięknego oblicza.

Z małżeństwa królewskiego spodziewał się król Zygmunt wnuków, ale nie spełniły się jego świetne nadzieje. Bona widząc w pięknéj i młodéj synowéj współzawodniczkę do władzy, jaką sama nad oboma Zygmuntami dzierżyła, nienawidziła Elżbietę właśnie dla tego, że była młodą i piękną, pełną cnót i wdzięku.— Nie wahała się tedy używać najohydniejszych środków do pozbawienia Elżbiety zaufania i miłości Augusta. Wskutek intryg Bony, utworzyły się dwa stronnictwa, z których pierwsze Bona, (Gamrat i Opaliński) przeciw Elżbiecie, a drugie: (Tarnowski, Maciejowski, Bauer i Włoch Marsupina), po stronie jéj występowało. Z listów tego ostatniego pisanych do króla Ferdynanda, dowiadujemy się wiele szczegółów pożycia domowego Zygmunta Augusta ze żoną, zamąconego intrygami Bony. I tak: Zygmunt August nie jadał nigdy ze żoną, nie odwiedzał jéj we dnie, ani nie okazywał już żadnéj oznaki miłości — zgoła, czynił wszystko wedle rozkazów matki swojéj. Przyjaciele Elżbiety, do których Marsupin należał, mieli wzbroniony przystęp do jéj komnat; a wreszcie tenże, śmiało stawiający się Bonie, obrońca młodéj królowéj Marsupin, zupełnie odwołanym został z Krakowa. — Z powodu morowego powietrza, szerzącego się w Krakowie, Zygmunt August wyjechał na Litwę, a obie królowe ze starym Zygmuntem na Mazowsze.

Królowa stara udawała wielki żal z odjazdu syna, lecz pewną było rzeczą, że sama kazała mu jechać, dawszy mu na to 15,000 dukatów, 40 pucharów, wiele łańcuchów i innych kosztowności. — Król zachorował w Niepołomicach, i zatrzymali się tam dłużéj. Marsupin wtedy chciał się widzieć z królem, aby wręczyć listy Ferdynanda. Bona sprzeciwiała się temu, i gdy nie mogła na swojém postawić, niby jadowita gadzina syknęła: „Boże, ja tu posag przyniosłam i skarb pieniężny; a ta (Elżbieta) nic nie przyniosła, a jednak wszyscy mi jesteście wrogami“. Na to król: „Milcz głupia, tyś nic nie przyniosła!“ A ona: „50,000 dukatów przyniosłam i skrzynkę takiéjże samej wartości“. Król odpowiedział: „Tyś nic nie przyniosła. Coś przyniosła, to masz przy sobie; jam nigdy ani szeląga twego nie widział. Ale ta jest córka moja, jest zrodzoną ze krwi mojéj, i dam jéj posag z mojego, bo chcę, aby miała posag“. Na to Bona: „Takim sposobem chcecie odebrać rodzonemu synowi, aby dać jéj?“

A król: „Syn mój będzie miał dość, a ona jest córką moją. Jak powiedziałem, tak chcę, aby było; i tak postanowiłem — że gdybym jutro umarł, przedewszystkiem ze skarbu mego 50,000 sztuk złota dla niéj, a z pozostałych pieniędzy może nie dam ani szeląga synowi. — Wtedy zaczęła znowu Bona krzyczeć, wzdychać i płakać i włosy sobie rwać, a obracając się do kanclerza (Maciejowskiego), powiedziała mu, że: Polacy są najgorsi z ludzi. — Wiadomość, że Marsupin ma ze sobą szkatułki, które sam chce wręczyć królowi, a w których może (myślała Bona) znajdował się posag Elżbiety — ułatwiła wreszcie wstęp uczciwemu Włochowi. Wykręt ze szkatułką sprawił wiele uciechy i śmiechu królowi. Marsupin w rozmowie z Elżbietą dodawał jéj ducha i zachęcał do energicznego wystąpienia przeciw Bonie. Ale Bona mściła się za to na nim, a na słabym Zygmuncie wszystko wymogła, co chciała. — „Bo jak tylko Bona zapłacze przed J. K. Mością i zacznie drapać sobie twarz i oczy i targać włosy, zaraz król mówi: „Rób jak chcesz, idź i rozkaż jak rozumiesz“. — To też wkrótce potém jako niepotrzebny przy dworze polskim Marsupin, odwołany został do Wiednia.

Obawiając się relacyj Marsupina w Wiedniu o swojém postępowaniu z Elżbietą, Bona pisała znowu listy do Ferdynanda, przedstawiające jak najpomyślniejszą dolę młodéj królowéj. „W twarzy jéj i układzie całym jest wprawdzie odmiana od tego, co było dawniéj, bo przyjechała do nas blada, wątła i ledwie żywa, a dziś wypogodzona, rumiennego lica i lepszéj tuszy, a to wszystko nie jest przecież oznaką doznanych przykrości lub przeciwności: albowiem smutek duszy wysusza kości. Jeżeli więc kto co innego o Jéj K. M. powiada, to nie prawdę mówi“. — Pomimo to jednak nie zbyt wierzono w Wiedniu tym uprzedzającym wieściom Bony; powszechna tam panowała opinija, że Zygmunt August „najłagodniejszy ma charakter i w niczém od ojca swego nieodrodzony, ale że mu Bona ręce i nogi związała, aby okazywane małżonce względy, nie uwłaczały w czémkolwiek władzy, jaką ona miała nad nim“. — Gorszono się jego pobytem w Wilnie zdala od żony, pozostawionéj w czasie powietrza morowego bez opieki małżeńskiéj. Tymczasem biedna Elżbieta w tęsknocie oczekiwała powrotu męża. W serdecznych i pełnych uczucia listach zaklina go do najspieszniejszego przybycia do Krakowa. Pisała te listy z Piotrkowa, lecz nie doczekała się skutku swych próśb. We dwa miesiące dopiero późniéj zjechali się małżonkowie w Brześciu litewskim. W październiku pojechali oboje do Wilna, dla objęcia powierzonych sobie rządów W. Księstwa Litewskiego. Swobodniéj oddéchała Elżbieta w Wilnie, niż przy boku nienawistnéj sobie Bony. Zapadła wprawdzie mocno na zdrowiu, ale wkrótce przyszła zupełnie do siebie, tak, że Zygmunt August, który od przyjazdu do Wilna żył w zgodzie z żoną, nie wahał się opuścić ją na jakiś czas dla odebrania w Krakowie posagu, który tam przysłał był król Ferdynand przez osobnych posłów. W dzień Bożego-Ciała (4 czerwca) była na Mszy i na Nieszporach w Katedrze — w kilkanaście dni jednak potém dobiegła wieść do Krakowa o jéj śmierci. Umarła dnia 15 czerwca. Cierpiała ona wielką chorobę, przeciw któréj radził się Zygmunt August astrologów; ufając nadto jakiéjś pomocy skutecznéj w pierścieniu króla Angielskiego, który miał posiadać cudowny talizman leczenia téj choroby. Zygmunt August nie zamknął jéj powiek — a „prócz czarnéj sukni nie dał innego znaku żałoby“.

Pogrzeb królowéj Elżbiety odbył się 24 sierpnia 1545 r. ze wspaniałością wielką w kaplicy Ś. Kazimierza przy katedrze, gdzie pochowany był także król Aleksander.

Ojciec królowéj dopomniał się o wyprawę jéj i dobra przywiankowe — które też Zygmunt August oszacowane razem na 30,000 złp., w Wrocławiu pełnomocnikom Ferdynanda przez Marcina Kromera wypłacił.

(Ciąg d. nast.)

USTĘP Z POEMATU

UZTA FILENA

Wł. Lud. Anczyca

(autora „TYRTEUSZA“).

. . . .

Mrok zapada — od cyrku Nerona
Walą się tłumy w wrzaskliwéj pogwarce:
Niewiasty, dzieci, młodziany i starce —
To jedna tłuszcza, bezwładna, zgnieciona.
Tu gmin obdarty, w kurzawie i błocie,
Tam patrycyusze rozpustą pijane —
Tłumy klijentów, niewolnych sług krocie;
Piękne Rzymianki w szał rozkołysane,
Córy konsulów, małżonki pretorów,
Pamiętne w dziejach Kleliją, Wirginiją,
Lica natarte bielidłem i minją
Mizdrzą sromotnie do gladjatorów.

Przejrzyste szaty objąwszy ich ciało,
Zdradzając wdzięki, niewieści wstyd starły....
Dla tych zalotnic już włosów niestało —
Więc niewolnice, Germany obdarły;
Z ofiar gemonij, z spolarjów głęb wnętrzy —
Kędzior na głowach Rzymianek się piętrzy,
Żarem wyzwania płomienne lśni oko:
Na forum bezwstyd i hańbę swą wloką.

Ależ przez bogi — gdzie pędzą te tłumy?
Co znaczy wrzawa i zgiełk ów szalony?

Klęska?.. czy pożar... czy święto praw Numy?
Czy też prowadzi pobite Teutony,
Wnucze Marjusza z promiennêm obliczem?....

Nie... to senator — w obłokach kurzawy
Z rzeszą woźniców ściga się po drodze;
Lecz nie orężem śród krwawych walk wrzawy,
Jak stare Rzymu hetmany i wodze;
Lecz by schlebianiem w Nerona wpaść łaski,
I nędznéj tłuszczy pozyskać oklaski,
O wielkie imię dobija się — biczem.

Lud odbiegł cyrku, gdzie mnogi zwierz dziki,
Z Nazarejczyków męczeńską krew toczy.
Woń krwi w powietrzu — i zdala grzmią ryki —
Rozżartym szkarłat posoki wzrok mroczy.
Skrzy w oku dzikość rozjadła, zawzięta,
Łaknąca mordu, krew żądna pić ciepłą:
Tętno litości w ich piersi zakrzepło —
To nie lud rzymski, to wściekłe zwierzęta!

Ściężał mu dawno praojców miecz płytki, —
A więc najemnik bój stacza zań krwawy;
Lud pragnie igrzysk i cyrków kurzawy,
Bogiem mu wino, próżniactwo i zbytki,
I dziś na forum nadzieja go nęci,
Że może konsul w wyścigach kark skręci.
Zdeptawszy dziadów obyczaj i cnoty,
Pod nogi skoczkom spodlony laur ciska —
A otaczając Nerona dom złoty,
Wrzeszczy w niebiosa o chleb i igrzyska.

To gmin — a możni? — Czy widzisz gromadę
Wywiędłych gachów z wonnemi kędziory.
Tych, co przed niemi chadzały liktory
Pomiot — oblicza obrzękłe i blade
Sztucznym rumieńcem ubrali malarze:
Mieczem ich, w sławy wiodącym podwoje
Jest: uścisk heter, kość, puhar i stroje:
A gdy im Cezar umierać rozkaże,
Zabraknie męztwa w przegniłém têm ścierwie,
Niewolnik nędzny żywota nić przerwie,
I ręce we krwi patrycyusza zmaże.

Azaż to plemię wielkiego Duilla?
Wnuki Fabiusów, kość z kości Dentata —?

Gdzież Senat? — Senat swą mądrość wysila,
Jakby najniżéj w obliczu spaść świata.
Miast nowym czynem zadziwić świat cały,
Do wieńca dziadów przyczynić liść chwały,
Obmyśla skrzętnie gonitwy, igrzyska,
Lub też Cezara wynosząc do nieba,
Daje mu tytuł to Marsa, to Feba —
Albo Jowisza, co gromy z chmur ciska.

O Romo! Romo!.. nacóż ci to było
Od gór Atlasu po nurty Eufratu,
Zwalać mocarstwa i pęta nieść światu.
Krępować ludy potężnych rąk siłą:
Cóż ci przyniosły morderczych walk krocie?
Łuny, pożogi, pogromy twe krwawe?
Gdy dzieci twoje spodlone, plugawe,
Toną w rozpuście i pławią się w błocie.

Gdzie wielka przeszłość? gdzie sława — gdzie cnota?
Ggzie wódz, co z roli biegł mężom dowodzić?

Lepiéj ci było na świat się nie rodzić,
Niż w brudnym kale dokończać żywota.

OBRAZY I OBRAZKI
z tatrzańskiéj wycieczki.

(Ciąg dalszy.)

II.

Za nim zrobimy ostatnią wycieczkę do Morskiego oka, chciałbym Was jeszcze Czytelniczki moje poprowadzić pierwéj na jaki bliższy spacer; pięknych widoków i ustroni tutaj tak wiele, że mi tylko kłopotać się przychodzi, co z tego dla was wybrać: Czy was poprowadzić za Żelazną-Bramę w on ciemny wąwóz, którego ponurość tak mało rozjaśniają słoneczne promienie, a wysokie skaliste ściany układają się w dziwne fantastyczne grupy, przypominające pracownie rzeźbiarskie. Tu skała od góry na dwoje rozdarta wyciąga w niebo ramiona jakby klęcząca niewiasta — tam mchami i kosodrzewiną porosły szczyt stromy sterczy jak olbrzymia karyatyda pochylona ku przepaści wąwozu, ówdzie ostry grzbiet skał naśladuje biusta i profile na pół ściosane i niewykończone — a tam z liściastego gaju z poza złotych listków wysuwa się istny posąg Mojżesza, Michała Anioła. Zatrzymałbym Was dłużéj w téj pracowni, w któréj natura, przypadek tworzą sobie takie fantastyczne igraszki — ale boję się, abyście się nie zaziębiły w tym chłodnym wąwozie i nie pochorowały; Wam Panie jak kwiatkom potrzeba ciepła, słońca. Więc może poprowadzić Was na wyręb lasu, na to wzgórze pełne ściętych pni drzew, około których wiją się krzaki malin i rumienią poziomki wśród zielonych liści i mchów? Ale po co macie kłóć przy malinach paluszki, po co schylać się za kilkoma poziomkami, zostawcie tę pracę wiejskim dziewczynkom, które z garnuszkami w ręku przysiadły do ziemi w białych ko-

szulkach i niebieskich spódniczkach. Przed wieczorem naniosą Wam poziomek i malin, które posypane cukrem, w domu bez trudu zjecie. — Więc chodźmy daléj. Ani zatrzymam się z z wami na szerokich kwiecistych łąkach, po których wasze oczka upatrują już kwiatków, którymby śmierć zadać drobnemi paluszkami. Po co? Słońce takie jeszcze płomienne, wasze rączki tak rozgrzane, wasze skronie tak rozrumienione, że kwiaty powiędną, zanim wrócicie do domu. Zostawcie je łąkom, pszczółkom, słonku i niebu; może znajdzie się jaki serdeczny kawaler, który kwiatki te zabalsamuje w bibule i wraz z rymowaną dedykacją ofiaruje wam na pamiątkę, biorąc na siebie odpowiedzialność za śmierć kwiatków i dobroć rymów. Wy tymczasem chodźcie ze mną zwiedzić źródła „Jaszczurówki“ i kuźnice Zakopańskie.

Droga prowadzi przez las, wśród którego słychać szum Dunajca i brząkanie dzwonków pasącego się bydła. Las ciągnie się po obu stronach drogi, jak szpalery ogrodowe; — na prawo jest park, do którego nie omieszkam Was wprowadzić jak tylko tych kilka zwierzątek, które się po nim błąkają bądź przez szczęśliwe małżeństwa, bądź przez inne sposoby, większém i lepszém cieszyć się będą towarzystwem; teraz zaś pójdziemy wprost do kuźnic, które stoją po prawéj stronie drogi prowadzącéj do dworu wysypanéj żwirem żużelcowym. — Pierwsza huta Edward była zamkniętą.

— A co to, świętujecie dzisiaj? spytałem osmolonego wyrobnika — w skórzanym fartuchu i drewnianych sandałach idącego pod górę.

— To tylko w walcowni nie ma dziś nic, ale na górze leją.

— A dużo tutaj hut takich?

— A ile Pan Bóg dał dzieci Wielmożnemu, to tyle i hut.

— A gdyby Pan Bóg nie był dał — tobyście hut nie mieli — co?

— E, wyście wyśmiewnik jakiś — rzekł urażony robotnik.

— A wy dziś nie pracujecie?

— A nie, bo roboty nie ma na tyle.

— To idziecie zapewne do kościoła modlić się, żeby Pan Bóg dał Wielmożnemu więcéj dzieci?

— Nie, idę do karczmy — odrzekł pokazując ręką na duży biały budynek. W wyciągniętéj ręce trzymał wyrobnik jakiś papier, który zwrócił moją uwagę.

— Cóż to za papier?

— Je, to naskie pieniądze. Takiemi u nas płacą we dworze.

Z zdziwieniem wziąłem papier do ręki, miał minę banknota, opatrzony był pozwoleniem banku — wystawiony z podpisem dziedzica. Zdawało mi się, że jestem w jakiém małém udzielném księstwie niemieckiém.

— I za takiego papierka kupisz wszędzie co zechcesz?

— A nie, tylko u nas.

— I czemuż Wielmożny takiemi pieniędzmi wam płaci?

— Je, bo ponoś drobnych nie ma. Dobreby ta były i takie, bo tak to płatek jak tamto płatek, ale najgorzéj po jarmarkach, a jeszcze gorzéj, że się tego do roku moc starga lub zatraci, komu z tego szkoda jeżeli nie biednemu człeku, który ciężko musi...

Nie dokończył, zdjął z uszanowaniem czapkę i usunął się z drogi, którą pędziły z góry dwa łyskające w słońcu powozy. Przeleciały tak szybko koło nas, że ledwie mogłem rozeznać w nich lekkie niebieskie suknie, białe beduiny i jasne włosy. — Za powozami jechała młodzież na lekkich węgierskich wózkach. Towarzystwo było w wesołych humorach, powozy i bryczki pełne były wesołości i śmiechów.

— To nasze państwo i goście — rzekł ów wyrobnik z papierkiem w ręku, kładąc znowu czapkę na głowę — jadą na bal do Kösmarku.

Byliśmy właśnie przed jedną z kuźnic, z któréj dochodziły nas silne uderzania młota.

— A tu co? — spytałem.

— To Hommer.

— Młot?

— A nie, hommer. Tak pan inspektur nazywa.

Skręciliśmy do zwiedzenia „Hommera“ i weszliśmy do ciemnéj pracowni cyklopów. Koło pieców buchających ogniem stali poczerniali robotnicy i wyjmując kleszczami kloce rozpalonego żelaza, nieśli je pod olbrzymi młot, który zdawał się niespokojnie oczekiwać ofiary, machając szerokiemi kołami i próbując siły swych uderzeń na szerokiém kowadle. Cała ta ruszająca się machina przypominała mi dzikie zwierzę rzucające się w żelaznych klatkach menażeryi i oczekujące niecierpliwie na żér. Podano mu kawał rozpalonego żelaza jak zakrwawione mięso, rzucił się na nie chciwie, gniótł i klepał w coraz węższe sztabki, żelazo bladło i siniało pod temi uderzeniami, wreszcie odrzucono je na bok zczerniałe, zimne. — Szkoda, że walcownia zamknięta; tam byście zobaczyły moje Czytelniczki, jak ogień niby Pigmalion znowu do życia przywoła te zimne sztaby, jak one w uściskach walców (nie Strausowych) wyginają się w purpurowe wstęgi i idą pod ząb drugiego olbrzyma machiny, który je tnie i przegryza z większą łatwością, niż wy orzeszki laskowe. — Wyszedłszy z kuźnicy Młota, zwiedziliśmy po drodze fabrykę gwoździ, gdzie przeważnie małe chłopcy pracują i pospieszaliśmy do lejni, bo właśnie dzwon zapowiadał, że mają puszczać z pieca płyn roztopiony. Gdyśmy tam weszli robotnicy przebijali już żelaznemi drągami otwór w piecu, z którego miał metal popłynąć. Otworzono czeluście, rozpalony, ciężki, ogniem zionący płyn rzucił się w rowy umyślnie wykopane na łożysko dla niego i jak apokaliptyczny wąż sunął powoli rozchodząc się w różne strony, jakby szukał miejsca, którędyby mógł się wy-

rwać z naznaczonego ludzką ręką koryta i rzucić na nas. — Było coś demonicznego w powolnych i przyczajonych ruchach tego strasznego żywiołu, z którego później będą podkówki do butów lub haki i noże.

Cała ta osada kuźnic dymiąca i zczerniała wśród skał i lasów dość niemiłe, rozstrajające robi wrażenie, jak plama na krajobrazie; to też co prędzéj opuściliśmy ją, spiesząc wydostać się z okopconéj osadem węgielnym atmosfery na rozkoszną polanę Kalatówkę, za którą rozpoczynają się źródła Białego Dunajca. Jeżeli względem źródeł Czarnego geografowie są w kłopocie, nie wiedząc który z licznych strumieni składających się na niego, nazwać głównym — to o Biały nie ma wcale tego kłopotu. Tam obok drogi prowadzącéj na polanę Kondratową wytryska z pod omszonych kamieni różnemi otworami obfite źródło i spada na dół kaskadą rozbijając się w białą pianę, tak że stanąwszy w téj odległości, w któréj szumu wody nie słychać, i ruch jéj przestaje być widoczny — możnaby mniemać, że to nie woda, ale śnieg bieluteńki leżał wśród ciemno-zielonych kamieni. Ta białość kaskady nadała nazwę całéj rzece.

U spodu kaskady jest murawa, zwilżana ciągle kroplami spadającéj wody — wokoło siedzenie darniowane — a wszystko to w otoczeniu starych, poważnych świerków. Czas jakiś zabawiliśmy w téj miléj ustroni — a potém wróciliśmy do kuźnic. Przechodząc koło dworu, niedyskretnie zaglądaliśmy w okna, pragnąc w nieobecności właścicieli podpatrzeć, czy dwór polskiéj Szwajcaryi ma jakieś cechy różniące go od innych, jakie w dolinach spotkać można. — Marszałek dworu widząc tę ciekawość, zaproponował nam, czyby nie wygodniéj było od drzwi zacząć oględziny i zaprosił nas z sobą najprzód do kawalerskiego pawiloniku.

Pawilonik ten zbudowany na wysokiém kamiennem podmurowaniu, na które się wchodzi po kilkunastu schodkach, składa się z kilku pokoi, których po szczególe opisywać nie widzę potrzeby, nie znalazłem bowiem w nich nic nadzwyczajnego. Wspomnę tylko o „rogatym pokoju“. Tak nazwałem pokój, którego sprzęty i przybory różne ozdobione były rogami koziemi naturalnemi lub imitowanemi. Wszędzie gdzie spojrzysz, czy to na nogi stołowe, czy na lichtarze, czy świecznik wiszący w środku pokoju, na ściany, widzisz sterczące kłójące wzrok rogi. Takie rogate umeblowanie wcale oryginalnie i dobrze wygląda w pokoju kawalerskim; mniéj stósowną byłaby ta obfitość rogów w pokoju jakiego małżonka. — Wśród rogów stała niewielka biblioteczka, złożona przeważnie z dzieł chemii i ekonomii; z tych książek, z retort i innych przyrządów chemicznych, ze strzelb wiszących w sypialni nad łóżkiem, ze skór niedźwiedzich zrobiłem wniosek (nie trudny zresztą do zrobienia), czém zajmują się mieszkańcy tych pokojów.

— A teraz może panowie do dworu? — zaproponował marszałek.

— Ależ to nie wypada — odezwał się poważnie profesor kaligrafii, który był między nami mistrzem przyzwoitości — nie wypada wchodzić do mieszkania pod nieobecność gospodarzy i podpatrywać tajemnice ich życia.

Przyzwoitość przytrzymała nas za poły surdutów, patrzeliśmy się po sobie, naradzając się oczami.

— A toby dobrze było, żeby panowie nie zwiedzili panieńskich pokojów — kusił marszałek — to tak nieprzymierzając jak w Rzymie być i papieża nie widzieć.

— Chódźże zobaczyć papieża — rzekłem do profesora; ale ten niewzruszony jak Kato w surowéj cnocie przyzwoitości — odparł:

— Przenigdy. Pójdę tam przedstawić się po formie, zwłaszcza, że znam ich już nieco.

— Znasz właścicieli?

— Widziałem córki parę razy w księgarni — i zdaje mi się, że niepodobna, aby mnie także nie uważały.

— Szczęśliwyś profesorze! — rzekłem głośno, a po cichu dodałem: żeś głupi.

— Jest i fortepian — dodał marszałek.

— Jest fortepian — zawołał ucieszony Marjan Sonatowski kompozytor i pianista, którego przezorna natura obdarzyła na ten cel długiemi palcami i długiemi włosami i ubrała w ciemne okulary. Piastował między nami godność kapelmistrza i pierwszego kantora (alias prima-dońca) podczas naszych nocnych krzyków, które nam podobało się nazwać serenadami.

— Jest fortepian — zawołał podnosząc z radością w górę swe palce, spiące tak długo w bezczynności.— Chódźcie panowie, zagram co.

Te słowa stanowczo nas pociągnęły za marszałkiem do pokojów, które przed chwilą opuściły panie. Obecność ich czuć jeszcze było w powietrzu, w pachnącéj atmosferze pokoju, w nieładzie zdradzającym pospiech. Tu zmięta chusteczka batystowa zachowała jeszcze odciski ręki, która ją porzuciła — tam lustro zmatowało się lekko gorącym oddechem téj, która w nie ostatnie rzuciła spojrzenie. Podarta silném szarpnięciem rękawiczka leżała obok próżnego flakonika, a świecące łebki szpilek błyskały na posadzce i toalecie. Te drobiazgi były dla mnie jakby szczątki potarganego listu, które skrzętnie składałem, by na nich odczytać ostatnią chwilę wyjazdu nieobecnych mieszkanek, a nawet ich usposobienie, nawyczki — każdy obrazek na ścianie, każdy stołek i ustawienie jego były mi pomocnemi w tem składaniu i syllabizowaniu, a gdzie brakło wskazówek, tam sztukowałem domysłem i instynktem. Spostrzeżenia te jednak uważam jako moją prywatną własność i nie myślę wcale dzielić się niemi z Czytelniczkami.

Dźwięk fortepianu przerwał moje obserwacje i zelektryzował mnie nieco, dawno już bowiem nie słyszałem

fortepianu; ucho odwykło od tego rodzaju tonu, przyzwyczaiwszy się więcéj do skrzypków karczemnych, do buczących organów w kościele,'a wreszcie do téj ogromnéj, straszliwéj orkiestry jaką wichry i pioruny wygrywają po granitach i wąwozach. — Fortepian przypomniał mi Kraków, o którym (będę szczerym) zanadto w górach zapomniałem i pociągnął mnie ku sobie. Przeszedłszy kilka pokoi gustownie umeblowanych, znalazłem się w wielkiéj sali, przeznaczonéj widać wyłącznie do tanów i śpiewu, stosy nut na fortepianie, brak mebli i woskowana posadzka dowodnie o tém przekonywały.

Marjan grał mazurka Chopina, jednego z tych, co mi przypominają przejrzyste skrzydełka motyli, błyskające barwami tęczy, trzepoczące się koło lampy wieczorem. Smętne tony co chwila się powtarzają, wracają jak motyl do ognia, cichną i zrywają się na nowo, szamocą się z wysileniem, w końcu słabną, cichną i konają z opalonemi skrzydełkami. Mazurka tego grywała mi przed laty jedna młodziutka panienka, delikatne stworzeńko, pełne smutku i fantazyi. Było jéj na imię Helenka. Mówiła mi nieraz, że chciałaby umrzeć, słuchając tego mazurka, że chciałaby po śmierci mieć szklanną trumnę i jaźminy we włosach. Śmiałem się wtedy z jéj chorobliwych zachceń. W parę lat potém wracając raz z Tatrów, zatrzymałem się na noc w karczmie na Zaborni. Wszedłszy do stajni dla wydania góralowi rozkazu na jutrzejszą jazdę, zostałem uderzony niezwykłą ciszą, jaka tam panowała pomimo licznego zjazdu; spytałem się o przyczynę, pokazano mi w milczeniu wózek nakryty budą. U obręczy wisiała paląca się latarnia, przy jéj świetle ujrzałem bledziutką twarz leżącéj młodéj kobiety — chora miała przymknięte oczy, zapewnie spała. Obok niéj siedziała druga kobieta pochylona nad nią; gdy podniosła twarz, poznałem w niéj ciotkę Helenki.

— Kim się pani tak opiekujesz? — spytałem.

— Nie poznałeś jéj pan? — rzekła smutnie, wskazując na chorą.

Zbliżyłem się i zcierpnąłem cały, poznawszy twarzyczkę dobrze mi znajomą, tylko była bledsza niż dawniej, błękitne żyłki cieniowały bladość jéj skroni i delikatnych rączek. Ta ciemna stajnia, latarnia kołysząca się nad śpiącą, biała płachta okrywająca wózek — wszystko to miało minę pogrzebową, przykrą.

— Czemuż tutaj, nie w stancyi? — spytałem po cichu.

— Nie można jéj przenosić, zbyt jest osłabiona.

W téj chwili kaszel zaszarpał piersiami śpiącéj, przebudziła się. Gdy mnie ujrzała, uśmiechnęła się boleśnie i rzekła ledwie dosłyszanym głosem:

— Chopin — jaźminy.

W kilka dni potém nie żyła.

Mazurek poruszył teraz we mnie te smutne wspomnienia — wyszedłem z pokoju na balkon otrząść się trochę z tego. Przed balkonem zieleniły się krzewy i kwiaty ogrodowe z trudnością pielęgnowane w chłodnym górskim klimacie. Wśród kwiatów szeleścił wodotrysk wysokim słupem bijący w górę. Rozpryskujące się krople wody błyskały w słońcu jak spadające djamenty. Szmer wodotrysku dziwnie godził się z tonami i rytmem muzyki. Słuchałem jednego i drugiéj i zapatrzyłem się przed siebie na długie płachty czarnych lasów, przez które biała droga snuła się jak taśma żałobna— na niebo, którego błękit coraz bardziéj ścieśniały chmury występujące z za gór. Chmury zwolna ciężały, opadały na dół i zawijały szczyty Gewontu i Czerwonego wirchu w szare swoje płachty — grzmoty pomrukiwały z daleka. W téj chwili Marjan uderzył silniéj w klawisze i dobył z nich sławną uwerturę z Wilhelma Tela. Nigdy nie słyszałem jéj w właściwéj porze i w stosowniejszém miejscu. Niespokojne linije gór tonące w chmurach, pomruki burzy, tony fortepianu — wszystko to zlewało się w jednę piękną, choć dziką nieco całość. Chmury coraz silniéj warczały grzmotem, błyskawice co chwila pisały na nich krwawe zygzaki, słychać było bicie piorunów o skały. Niczém burza na dolinach w obec téj, któréj obraz rozwijał się teraz przedemną. U nas burza — to groźny pomruk natury — a tu najnamiętniejszy wyraz jéj serca, tu ona szaleje, wścieka się, rzuca. — Szczęściem dla nas, że tę namiętność skierowała burza w inną stronę, wichry przepędzały szybko gradowe chmury ku zachodowi i niezadługo niebo rozjaśniło się znowu nad moją głową. Było to dla nas hasłem do opuszczenia dworu.

Koło góry, która (z przeproszeniem pań) Nosalem się nazywa, skręciliśmy na prawo i ścieszką przez łąki rozesłane u stóp lasu zdążaliśmy do Jaszczurówki. Tak się nazywa ciepłe źródło, mające stałą temperaturę tak w zimie jak i w lecie (15°); nazwę tę nosi od mnóstwa jaszczurek czarno-żółtych, które się czołgają koło kamieni nad źródłem. Kiedym tu był przed kilkoma latami, nie było jeszcze żadnego budynku, źródło sączyło się między kamieniami i gęstym mchem, w koło czerwieniła się mnogość poziomek, że miejsce to zdawało się jakby kroplami krwi pobryzgane — a czarno-żółte jaszczury spokojnie wyłaziły na słońce nie płoszone przez nikogo. Dziś na tém miejscu stoją zabudowania kąpielowe, woda ze źródła wstępuje wprost do dużego basenu, a że jest nadzwyczaj przejrzysta i tylko lekko jakby niebieską farbą zabarwiona, więc kąpiący się w niéj (w skutek łamania się światła) przybierają potworne kształty karykatur Kladradatschowych.

Gdyśmy przybyli do Jaszczurówki, Hanka Stasiczkowna kazała nam się zatrzymać, mówiąc, że jakieś panie się kąpią. Równocześnie usłyszeliśmy wewnątrz budynku śmiechy i krzyki.

— Aj, aj — ależ to zimna kompletnie woda — odezwał się głos jeden.

— Oszukaństwo i nic więcéj — zaintonował drugi — jakem była w Karlsbadzie....

— A ja pani mówię — przerwał znowu głos pierwszy — że oni muszą kraść ciepłą wodę, a zimną dolewają. — Mój doktór wyraźnie mi powiedział, że to ciepła woda.

— Ach, ciociu, ciociu, jak téż ciocia śmiesznie wygląda we wodzie — wyrwał się inny głosik, który zdawało mi się, że już gdzieś słyszałem.

— Herciu, nie patrz.

— No, jestem w domu — zawołałem — to nasze panie są w kąpieli.

Musiałem za głośno się wyrwać, bo rozmowa wewnątrz ucichła i tylko stłumiony śmiech Paulinki czasami słychać było.

Po godzinie wyszły te panie z ciepłéj kąpieli dygocące od zimna; tylko ciocię z trudnością zdołano namówić do wyjścia. Biedaczka żenowała się pokazać przed nami w zaniedbanéj toalecie, białość twarzy, rumieńce, czarne brwi, wszystko to zostało w jasnych nurtach Jaszczurówki — jakże tu pokazać się przed swoim p r z y s z ł y m tak obnażoną z wdzięków? — W końcu jednak rozmyśliwszy, że nie może wiecznie jak Rusałka lub Świtezianka siedzieć nad wodą, wyszła zażenowana mocno, kryjąc twarz w fałdy woalki.

— A, panowie znowu tutaj — zawołała Paulinka ujrzawszy nas. — Byliście gdzie dzisiaj?

— U źródeł Białego Dunajca.

— A to ładnie, samym chodzić a nam nic nie powiedzieć. Za karę nie powiem panom, że i my wybieramy się dziś do Morskiego-Oka i że nocować będziemy w Bukowinie.

— A my — rzekłem — na przeproszenie powiemy pani, że również się tam wybieramy, ale przez góry. Więc do widzenia, jutro w dolinie Pięciu-Stawów.

— Do widzenia! (C. d. n.)

TEATR (dokończenie). *Ryszard III.* — Przedstawienie Ryszarda III. może stanowić epokę w dziejach naszego teatru. Potrzeba bowiem do tego nietylko niepospolitych sił, ale i licznego personalu — i ilość i jakość muszą się tu nawzajem posiłkować, a nawet role dziecinne wymagają dobréj gry, by nie osłabić tragicznego wrażenia, jakie sprawia całość dramatu.

Dramat ma za przedmiot jednę z najwybitniejszych chwil historyi Anglii — chwilę, w któréj dom Jorków pokonawszy chwilowo Lankastrów, objął rządy Anglii. Edward IV. (Jork) po zamordowaniu Henryka VI. i syna jego, siedzi właśnie na tronie. Wtedy ks. Glosler (póżniejszy Ryszard III.), który był właściwą sprężyną i podżegaczem do wymordowania domu Lankastrów, rozpoczyna snuć straszne plany na zagładę swéj całéj rodziny, aby sam mógł pozyskać koronę. Edwarda IV. śmiertelna choroba usuwa mu z drogi, na Clarensa wyséła zbójców, dzieci brata mordować każe, i po tych szczeblach skrwawionych tylu ofiarami, wstępuje na tron. Ale nie długo kosztuje owoców swéj zbrodni. — Hrabia Riszmond Tudor z Lankastrów zjawia się z wojskiem na brzegach Anglii; lordowie oburzeni okrucieństwami Ryszarda, przechodzą na jego stronę i dramat kończy się śmiercią Ryszarda i upadkiem domu Jorków. Jak widzimy z przytoczonéj treści, Ryszard jest główną figurą, wszystkie inne służą tylko do odsłonięcia i uwydatnienia przeróżnych odcieni jego potwornego charakteru. Przypomina to nam owe obrazy, w których środek przedstawia jakąś dużą figurę historyczną, a drobne obrazeczki w koło różne epizody z jéj życia. Podobnie tutaj występuje Ryszard. Pomimo to geniusz Szekspira żadnéj z tych pomocniczych figur nie zostawił nie wykończonéj, wszystkie, jakkolwiek na krótko zjawiają się na scenie, (co przez skrócenie sztuki jeszcze bardziéj uwydatnić się musiało) występują jako postacie skończone, z jasno i wyraźnie naszkicowanym charakterem, a krótkie ich występy są zarazem polem popisu dla artysty. Taką scenę ma Anna (p. Modrzejewska) wdowa po Edwardzie ks. Wallis, idąca za trumną swego małżonka i spotykająca się z jego zabójcą, ks. Glosler, którego potem żoną zostaje; taką scenę ma Clarens (p. Wolański) w więzieniu i Małgorzata (p. Aszperger), wdowa po Henryku VI., która przeklina ród Jorków i cieszy się, że Ryszard jak duch zniszczenia ją wytraca. W téj roli koturnowa deklamacyja p. Aszperger znalazła odpowiednie miejsce i budziła wielkie wrażenie. — Ale jak powiedziałem, cały dramat wypełnia głównie postać samego Ryszarda, ten potworny kolos podłości modelowany jest na miarę posągów Michała Anioła. Każdy akt to nowy popis tego wcielonego szatana, który bez namiętności, na zimno, z ironicznym i cynicznym uśmiechem dokonywa najstraszniejszych zbrodni. Jedno tylko nas zadziwia w przedstawieniu tego charakteru, tj. brak dramatycznego crescendo. Scena w pierwszym akcie, gdy Ryszard idącą za ciałem męża Annę zdołał ująć dla siebie, ten Ryszard, co zabił jéj męża i teścia, co jest tak potwornie brzydki, że psy szczekają na cień jego — ta scena jest tak silną, w tak wysokim stopniu maluje szkaradę i cynizm tego potworu, że wszystkie późniejsze jego zbrodnie bledną wobec téj. Dlatego téż zajęcia zamiast wzrastać, słabnie i wolnieje. Jedyna rzecz, co podtrzymuje uwagę, jest oczekiwanie upadku Ryszarda. Sprawiedliwość domaga się, aby kara była odpowiednią wielkości zbrodni; publiczność jest więc w oczekiwaniu czegoś strasznego. Tymczasem dzieje się przeciwnie — widzimy Ryszarda w krótkiéj walce z Ryszmondem, przelatującego scenę — potém ze słów

Ryszmonda powracającego na scenę dowiadujemy się, że Ryszard legł. Takie zakończenie nie zadawalnia — Ryszard poległ w walce jak tylu innych najniewinniejszych ludzi. Od gry Ryszarda zależało nadać większą grozę i potęgę zakończeniu, ma do tego wyborne pole w walce z Ryszmondem. Pamiętamy, jak Ira Aldrige, występujący u nas w téj roli, tę scenę podniósł do przerażającéj potęgi; z dziesięć minut trwała walka, wśród któréj twarz zbrodniarza mieniła się od wściekłości, rozpaczy, przestrachu i wysileń. Publiczność z wstrzymanym oddechem przypatrywała się téj strasznéj, wątpliwej walce — i dopiero odetchnęła swobodnie i z zadowoleniem, gdy widziała Ryszarda padającego na ziemię. P. Rapacki czy wskutek znużenia, czy innych powodów przepuścił lekko tę scenę, za to sceny przy trumnie, przy zgonie Edwarda, scenę bigoteryi oddał po mistrzowsku. Gra, ucharakteryzowanie się, ruchy miały w sobie piekielną potęgę podłości. Zarzucić mu tylko musimy pierwszą scenę, w któréj stojąc oparty o posąg zanadto spokojnie, po hamletowsku odmawia swój monolog. Skrzywiony, niedbale oparty, gryzący palce przy rozmyślaniu zbrodniczych planów, wściekły — byłby Ryszard prawdziwszy, niż taki, jak go p. R. w początku téj sceny przedstawił. — Są to jednak małe usterki wobec całéj gry, nieustępującéj europejskim znakomitościom. *M.*

Kwietnia niedziela zamknęła drzwi teatru i przenosi nas do kościołów, gdzie wśród ścian zakrytych kirem rozpamiętywa dusza wielką tajemnicę Golgoty. Niezwykle uroczyście wygląda w tych dniach miasto nasze. W innych miastach, gdzie kościoły albo chowają się w zakątkach, albo stoją w szeregu kamienic bez wyróżnienia — ruch uliczny zakłóca ciszę kościołów i ściera poważny charakter wielkiego tygodnia. — U nas przeciwnie — gdzie spojrzysz, wszędzie kościoły występują na pierwszym planie, a w ostanich dniach postu uroczysta ich cisza i poważny nastrój udziela się całemu miastu. — Tłumy ludu przy sprzyjającéj pogodzie pielgrzymują po ulicach — a po kościołach słyszysz utwory najznakomitszych kompozytorów. Tego roku odśpiewano w kościele ś. Anny „Stabat Mater“ Haydna pod przewodnictwem dyrektora Blaszki — a w godzinę późniéj słyszeć się dały w kościele p. Maryi prześliczne „Siedm słów“ Mercadantego. Jakkolwiek śpiewy tego rodzaju wyłącznie mają chwałę Bożą na celu i nie wchodzą w zakres recenzyj, jednak zawsze lubownikom muzyki wolno wyrazić swoją wdzięczność p. Mireckiemu za tak nadobny przyczynek do chwały Bożéj. — Piękne głosy szczególniéj dwa altowe, sopran i baryton dźwięczna, pełna świeżości muzyka, oświetlony grobowiec i tłumy ludu w ciemnym kościele, wszystko to składało się w uroczystą harmoniją, odpowiadającą wielkości chwili.

*** Try znakomite odczyty na album fotograficzne z wielkiego ołtarza w kościele Marjackim nie zdołały obudzić miasta naszego, wysypiającego się widać po karnawale, gdyż sala zaledwie w połowie była zapełnianą. Prof. Kremer zastanawiał się nad cechami rzeźby greckiéj i chrześciańskiéj, wyjaśniając na przykładach niektóre punkta z teoryi estetycznéj, które tak ozdobnie w „Listach z Krakowa“ rozwinął. — Rozprawę W. Pola „o potrzebie szanowania zabytków“, odczytał p. Czernicki. Był to głos gorący, żarliwy; miłość ojczystych rzeczy podyktowała ten rapsod stróża grobów, z których życie wydobyć należy. „Gdzie się wali, to się wszystko wali; gdzie się dźwiga, to się wszystko dźwiga“; oto prawda i obowiązek w tym odczycie przedstawione. — Prof. Łuszczkiewicz wyjaśnił w wymownym, a treściwym odczycie całą kreacją, układ i treść rzeźb wielkiego ołtarza, wymagania i gust społeczeństwa XV. wieku, przytoczył cudowne legiendy o zaśnięciu Matki-Boskiéj, które wówczas w misterjach odgrywano, i które też Stwosz, jako dziecko swojego czasu, użył dla swojéj twórczości. Publiczność może po tych odczytach rozumieć i umieć oceniać te średniowieczne arcydzieła.

*** Właśnie w wieczór po odczycie W. Pola, odbywał się koncert „Muzy“ na rzecz odbudowania Sukiennic. Jakby na udowodnienie, że słowa poety odbijają się dziś jak groch o ścianę, była i tutaj sala słabo zapełnioną. Szczególnie tak zwana arystokracja jaśniała chwalebną nieobecnością.

Koncert p. Wysockiego. Przyjemném zjawiskiem w szeregu tegorocznych produkcyj muzykalnych, był koncert p. Wysockiego. — Już sam program najpochlebniéj przemawiał za usposobieniem artystyczném koncertanta, program — w którym dla rozmaitości nie poświęcono dobrego smaku.

Za wstęp posłużyła pyszna uwertura Mendelsohna „Ruj-Blas“, która należąc do ostatniego okresu twórczości największego z romantyków, jakkolwiek świeżością pomysłu nie dorównywa starszym swym siostrzyczkom, mianowicie owéj pełnéj tajemnic do „Melusine“ lub „Hybridis“ — przecież siłą, szerokością myśli i jasném jéj wypowiedzeniem znakomite miejsce między utworami tego rodzaju zajmuje. Wykonaną ona została przez bandę pułku ks. pruskiego bardzo staraunie i z tą precyzją, jaka zresztą każdy występ téj orkiestry cechuje. W aryi z „Nabouco“ dał nam się poznać p. Wysocki. Głos jego wynagradza słabość niższych tonów pełnością i okrągłością wyższéj skali; czysta zaś intonacja, wyborne wymawianie słów płynących pełnym strumieniem śpiewu, oraz panujące wszędzie poczucie i pełne wdzięku oddanie myśli kompozycyi, stanowią zaletę jego śpiewu*).

Arja z „Fausta“, wymagająca nader lekkiego i zdolnego do delikatnych cieniowań głosu, należy do rzędu tych utworów, których wykonaniem celuje pani Rapacka. Umiejętnie rozrządza ona farbami, rozłożonemi na palecie jéj miłego acz drobnego głosu i oddaje wszelkie fioritury i najdrobniejsze odcienia z drobiazgową dokładnością, która jéj zasłużone jedna oklaski.

Szczęśliwém pod każdym względem było wykonanie „Capriccia“ Mendelssohna. Do uwydatnienia bowiem wszystkich piękności téj kompozycyi potrzeba nietylko niepospolitego pianisty ale i orkiestry, któraby z tą uległością dała powodować sobą, jakiéj rzeczy-

---

*) Oddając należną pochwałę talentowi p. Wysockiego, nie posuniemy się jednak za innemi dziennikami, aby go nazwać pierwszorzędną znakomitością teatrów opery włoskiéj. Ktokolwiek miał sposobność słyszenia jakiegoś lepszego tow. opery, ten przyzna, że p. W. do znakomitości tego rodzaju liczyć się nie może, że głos jego, który niezbyt góruje nad umiarkowanym akompaniamentem fortepianu — w gwarze hucznéj orkiestry zginąćby musiał. Nazywając więc taką znakomitością pana Wysockiego, musielibyśmy albo ubliżyć tradycyjnéj sławie teatrów włoskich — albo przypuścić, że p. W. wyjeżdżając do Polski, znakomity głos swój rozdał we Włoszech na pamiątkę tym, których tak podobno zachwycał. Głos jego nie jest wcale potężnym, ale jest czarującym, dziwny bowiem czar wywarł na niektórych ludzi: i tak korespondenta „z pod Wawelu“ (strasznéj niegdyś siedziby bazyliszka), o którym dobrze wiemy, że mu dotąd z trudnością przychodziło odróżnić Polkę od Walca, operetkę Offenbacha od oratorium Mendelsohnowskiego — uczynił nagle znawca rozumiejącym się na najsubtelniejszych tajnikach muzyki — a zdolnego i znanego z wielu koncertów pianistę, uczynił niezdolnym do lichego akompaniamentu. Są to Orfeuszowe czary, których tajemnica ma swoje ciemne strony. (Przyp. Red.)

wiście kapryśny ten utwór od towarzyszących mu instrumentów wymaga. Nazbyt dobrze znaną jest gra p. Hoffmana, byśmy coś nowego o niéj zanotować mogli. Miękkie uderzenie, nadzwyczajna technika obok należytego zrozumienia i charakterystycznego oddania rzeczy wykonywanéj, czynią grę jego zawsze ponętną dla grona słuchaczów, chcących zwłaszcza zapoznać się z utworami poważniejszemi, które sumiennego wykonawcę w p. H. znalazły.

Należy nam jeszcze złożyć słowo podzięki p. Modrzejewskiéj za wprowadzenie do sali koncertowéj deklamacyi, którą za przyjemne urozmaicenie wieczorów muzykalnych uważamy, zwłaszcza jeżeli słowo wypowiada to, co niekoniecznie muzyką da się wyrazić. Wobec tryumfów, jakie każdy występ téj artystki święci, zbytecznem byłoby dodawać, że wszystko, cokolwiek podejmie, nosi na sobie piętno skończonego artyzmu, zbliżającego nas do ideału piękności. *Ad. St.*

*** W niedzielę palmową (5go t. m.) **wielki koncert wokalno-instrumentalny** pod kierunkiem p. Guniewicza zakończył szereg postnych rozrywek. Dwa głosy kobiece i jeden męzki były najpiękniejszą jego ozdobą — lubo i inne części zyskały rzęsiste oklaski. Przeważny udział w tym koncercie brało towarzystwo „Muza", któremu to tylko zarzucić musimy, że zbyt często raczy nas „Chórem Cyganów", „Tańcem Szkieletów" i innemi utworami p. Guniewicza. Dobrzeby może było, aby dyrektor „Muzy" ustąpił obok siebie więcéj miejsca i innym znakomitościom muzykalnym, jak Gounodowi, Mendelsohnowi itd. — choćby przez samą grzeczność, gdyż uzurpowanie większéj połowy koncertu dla własnych utworów, choćby najgenialniejszych, jest równie niesmacznem, jak człowiek, który w towarzystwie nikomu do słowa przyjść nie da i wciąż o sobie tylko mówi. — Należałoby także skrócić program koncertów, którego długość i obfitość dotychczasowa przypomina odpustowe obiady, których samo wspomnienie odejmuje apetyt. — Program nieduży a wdzięczny i pełen rozmaitości, nierównie więcéj przypadnie do smaku publiczności i zyska jéj uznanie — a członkowie „Muzy" nie będą wtedy w smutnéj konieczności dawania sobie samym oklasków, jak się to dotąd nieraz wydarzało.

*** **Ostatnia serja odczytów**. Po nieudałych odczytach w sali ratusznéj, na które nieuczęszczająca publiczność zbyt jasno i wyraźnie dała poznać, że nie tylko jéj nie chodzi o skradzioną głowę Świętego, ale także, że ją nie obchodzą znakomitych pisarzy głowy, które ręka czasu nie odkradła nam jeszcze — po tych odczytach, które nie publicznemi ale familijnemi nazwaćby trzeba — urządził niezrażony tém komitet Tow. Akad. wzajemnéj pomocy nowy szereg odczytów. Publiczność przypatrująca się z zajęciem pierwszym podlotom kawek na dachu Marjackiego kościoła, mniéj była ciekawą słuchać nowo występujących sił umysłowych, którym Tow. Nauk. krak. gościnne drzwi otwarło. Ta obojętność publiczności jest albo wstrętem do nauczenia się czegoś, albo brakiem pieniędzy. Przepełniony cyrk Hütemana niech nam odpowie, która z tych przyczyn prawdziwsza? Płaskie żarty pajaców mają dziś liczniejszych słuchaczów.

Szereg odczytów rozpoczął p. Bełcikowski Adam, docent szkoły głównéj warszawskiéj, odczytem „o komedjach Zabłockiego". Żaden członek teatru nie był ciekawy usłyszeć coś o głośnym niegdyś komedjopisarzu, poprzestano widać na skromnéj wiadomości o jakimś Zabłockim, co stracił na mydle i nie myślano dla niego tracić kilkunastu centów. Przed szczupłą gromadką słuchaczów prelegent mówił czystym, dźwięcznym głosem. Brak obszerniejszych wiadomości o życiu komedjopisarza nagrodził słuchaczom dokładnem opowiadaniem treści trzech wybitniejszych a mało dziś znanych komedyj: „Sarmatyzm", „Zabobon" i „Fircyk", i zastanawianiem się nad charakterami pojedyńczych osób.

Następny odczyt w obec wyjątkowo licznéj publiczności miał p. Alfred Szczepański — mówił „o liryce greckiéj", na podstawie téjże uzasadnił teorją poezyi lirycznéj w ogólności, wykazał jéj znaczenie społeczne i podniósł stronę ideału. W końcu mówił o potrzebie nauk klasycznych, jako podstawy wykształcenia. Wykład ten w całości zamieścimy w „Kalinie".

Dr. Rapaport rozbierając „Listy Juniusza", broniącego praw konstytucyi angielskiéj i zasad wolności przeciw despotycznym zachciankom Jerzego III. — przeszedł potém zręcznie na grunt narodowy i postawił w nim jako drogoskaz zasadę „Listów Juniusza", tj. występowania ciągłego i niezmordowanego przeciw najmniejszym objawom gwałcącym ustawy i konstytucją; czego u nas nie było.

Dr. Olędzki mówił o dziele Monteskiusza „esprit des lois".

Zakończył Dr. Gumplowicz „o formach rządu" — z historyi wyprowadził zasadę, że nie dadzą się one z góry nadać — ale są wynikiem przyrodniczych wpływów i stosunków ekonomicznospołecznych — i że dzisiaj prawem i potęgą społecznopaństwową jest praca i wiedza.

Wobec pustych krzeseł na większéj części tych odczytów przychodzi mimowoli na myśl ostatni wiersz z ballady Kamińskiego, bajazzo: „Publiki nie było, a małpa się śmiała". Okoliczność ta nie powinna jednak działać zniechęcająco, owszem przeciwnie. Wobec bowiem téj publiczności, która jeszcze przychodziła (ratując przez to honor inteligencyi krakowskiéj przed wyrokiem apatyi tak dla przedmiotów jak i dla celu odczytów) powinni się prelegienci czuć umocnieni tém przekonaniem, że mówią w istocie do publiczności doborowéj — i tą potrzebą, że apatją koniecznie przełamać należy.

*** **Cyrk**. Nierównie liczniéj niż odczyty na cele dobroczynne bywa odwiedzany cyrk, mający za cel napełnienia pieniędzmi naszego ubogiego miasteczka kieszeni p. Hütemana, który z niemi daléj powędruje. Smutna to zaiste rzecz, że dzisiaj praca nóg większe uznanie znajduje niż praca głowy i trzeba głowy zamiast nóg używać jak pajac cyrkowy, aby z niéj jaki taki dochód mieć można. — Cyrk p. H. nierównie większy od swoich poprzedników cieszy się zawsze liczną publicznością — choć nie znamy zabawy więcéj wstrętnéj i nieestetycznéj nad te konne sztuki, w których daje się poklask skaczącym za to, że karku nie skręcili; pajacom za to, iż zapomnieli być ludźmi; linoskokom, że nas uczą jak cenne (!) to życie; a Chińczykom rzucającym na siebie nożami, za to, że się nie pozabijali. — Czyż może być zabawa bardziéj obrażająca godność człowieczą? — i widzów i aktorów zarówno poniża. Pogańskie narody lubowały się w tego rodzaju igrzyskach, dziś wyznawczynie rzymsko-katolickiego kościoła oddziedziczyły te upodobania i spieszą na cyrk szukać wrażeń, wzruszeń, blednąć, galwanizować się i klaskać. Może się mylimy pisząc to, może one idą tylko podziwiać wyższą szkołę jeżdżenia i dresowania koni, stanowiącą jedynie piękną i estetyczną stronę cyrku? — Oby!!!

*** **Ćwiczenia językowe**. Tak nazwać musimy zabawy pewnego kółka w naszem mieście, odbywające się w kształcie kazań i teatrów w języku francuskim; aczkolwiek dziwnemi nam się wydają tego rodzaju wprawy i ćwiczenia dziś, gdy francuzczyzna z salonów zeszła nawet do przedpokojów i sklepów. — Stosowniejsze może byłyby takie ćwiczenia w języku ojczystym, który usta niejednéj damy salonowéj kaleczą bez zarumienienia.

Ciekawy pod tym względem zdarzył się wypadek w Warszawie. Osoby towarzystwa (nie mówię tu o towarzystwie teatralnem, ale o tak zwanem towarzystwie dystyngowanem) zamierzyły odegrać jakąś sztukę na cel dobroczynny. PP. Szymanowski i Chęciński podjęli się reżyszerstwa — rozpisano role i zebrano się. Ale cóż? — Przy pierwszej próbie przekonano się, że amatorzy nie władali o tyle polskim językiem, aby ten mógł im wystarczyć na krótki czas komedyi. Zarzucono więc myśl teatru — a dano zamiast tego „żywe obrazy". Jest to skandal, któremuby z trudnością uwierzono w Anglii a nawet Francyi, aby rodziny czysto polskie, ba, nawet podobno przodownicy narodu, nie umieli ojczystego języka. Wobec takiego faktu sądzimy, że nie ma potrzeby szukania sposobów do ćwiczenia się we francuzczyznie zapomocą przedstawień scenicznych. Osoby dające to przedstawienie, czuły widać same niedorzeczność i śmieszność podobnego postępowania, kiedy zaproszenia

rozesłały bardzo oszczędnie (choć to było na cel dobroczynny) i to w polskim języku. Grano dwie sztuczki: „Le plus beau jour de ma vie“ i „Le feu au couvent“.

Mniejsza jednak o ten teatr, grający mimowoli i wiedzy wystawili na nim swoje wady i śmieszności; ale co powiecie na to, że toż kółko urządza sobie obok teatrów także kazania francuskie w jednym z klasztorów tutejszych. Te panie wierzą zapewne, że z tym językiem w ustach lepiéj będą widziane na niebieskich salonach.

*** W drugim tomie zbioru powieści wydawanych w Toruniu nakładem F. T. Rakowicza — spotykamy się z obrazkiem powieściowym J. K. Turskiego, p. t. „Rozjemca po ukazie“. — Dużo znamy powieści tego autora już to osobno wydanych, już to umieszczanych po różnych dziennikach, a jednak żadnéj nie czytaliśmy z takiém zajęciem i upodobaniem jak tę ostatnią. Nie jest to powieść o szerokich rozmiarach, ciekawych zawiklaniach, wybitnéj tendencyi, ale mały obrazek, pełen ciepła, prostoty i poezyi. Nawet treść nie jest inwencją autora — treść przypomina Montechich i Capuletich, albo jeszcze lepiéj „Zemstę o mur graniczny“ — nie może się więc liczyć na karb zasługi autora. Cały urok leży w opowiadaniu w drobiazgowém a wdzięczném wykończeniu djalogów, czego brak w innych powieściach tego autora. Treść powieści obraca się około kawałka ziemi, leżącéj między odnogami jednéj rzeki — nazwano ją „Delta“, a spór o nią toczył się od niepamiętnych czasów. Pan Jan Dołęga „rozkoszny starowina, siwiuteńki jak gołąb, uśmiechniętéj zawsze twarzy, niziutki i okrąglutki jak baryłka“, dość chętnym się zdaje do ukończenia sprawy nawet ze swoją stratą; ale p. Tomasz Janina „impetyk i gorączka, mężczyzna dobrego wzrostu, koło 50 lat mający, czerstwy jeszcze, miléj i prawdziwie polskiéj fizjonomii“, ani chce słyszeć o zgodzie i ustępstwach — on chce procesu, wyroku. Pan Dołęga ma syna Jana — p. Janina córkę Tomirę, którzy bardzo czule zerkają na siebie z daleka, a nieraz przy spotkaniu się w ogródku księdza Dziekana miłe słówko sobie powiedzą. Otóż przez połączenie téj pary chce proboszcz spór ukończyć; p. Tomasz nie ma nic przeciw młodemu, ale sporu w ten sposób kończyć nie chce, on chce Deltę wyprocesować. I zjawia się w końcu rozjemca, jest nim komisarz do spraw włościańskich, przed którego ostatecznie ta sprawa się wytacza i który ogłasza wyrok na korzyść p. Tomasza Janiny. — Kiedy szlachcic dogodził swojéj żyłce, poczyna go brać i srom, że obcy człowiek, wróg przysądził mu ziemię, nie cieszy go wyrok — a wtedy jakby w porę przedstawiają mu do błogosławieństwa młodą parę, która ostatecznie spór załatwi. — Tak skończył autor; czy prawdziwie, nie wiemy, bo o ile się z praktyki pokazało, komisarz włościański sporny kawałek chętniéjby przyznał gromadzie, niż któréjkolwiek z prawujących się stron; ale nie naszą rzeczą narzucać autorowi zakończenie, zwłaszcza, że niezadowolenie Janiny po otrzymaniu korzystnego wyroku — jest bardzo charakterystycznym rysem natury szlacheckiéj, co choć się pienia i rąbie, ale umie sobie przebaczyć i upić się na zgodę.

Jak powiedzieliśmy — obrazek ten jest z miniaturową dokładnością wykończony i z wielkiém napisany uczuciem, i kwalifikuje się bardzo tak do czytelni mieszczańskich jak i dworków szlacheckich.

*** **O szkole ludowéj** — przez Alojzego Skoczka z Radomyśla. I. Kraków w drukarni uniwersyteckiéj. 1868. — Mała to bardzo książeczka, o któréj zamierzamy pomówić; ale przez wzgląd na samą szlachetną swą dążność, zasługuje na uznanie i rozpowszechnienie. Jestto serdeczna, popularnie i jasno wyłożona nauka o potrzebie i sposobach zakładania szkółek ludowych i wyszukiwania zdolnych do nich nauczycieli. Wobec codzień widoczniejszego rozwoju oświaty ludowéj, książeczka ta — będąca wybornym instruktorem, wielce się przydać może, i dla tego ją wszystkim gminom wiejskim, które zwłaszcza nad założeniem szkółki przemyśliwają, szczerze polecamy. Rady i przestrogi podawane w niéj przez p. Skoczka, tchną prawdą i miłością dobra ludu. Roztropność i doświadczenie widoczne nadaje im cechę powagi. Samo - zresztą opracowanie rzeczy stylem prostym a jędrnym i potoczystym, zaleca ze wszech miar to pożyteczne dziełko. Z wielkim pożytkiem dla ludu pracować może na obranéj drodze i nadal p. Skoczek — i dlatego też z ciekawością drugiéj części jego pracy oczekujemy *i.*

*** **Czytelnia ludowa w Cieszynie** ukończyła obecnie szósty rok istnienia swego. Jako jedyny zakład narodowy w Śląsku naszym, działała ona i w tym okresie wedle udzielonych sobie środków na rozbudzenie i podniesienie ducha i poczucia narodowego pomiędzy polską i inną słowiańską ludnością śląską i na rozwój i wzrost oświaty ojczystéj. Sama zaś upewniając coraz więcéj byt swój, rokuje na przyszłość tém większą skuteczność.

Liczba członków „Czytelni Ludowéj“ doznała w roku upłynionym wzrostu. Z początkiem roku wynosiła 166, a dziś przy zakończeniu jego jest ich 178, przybyło więc 12.

Nie mało zabiegów i starań wymagały zabawy teatralne i towarzyskie w Czytelni od Wydziału. Przedstawień teatralnych odbyło się 8, zabaw towarzyskich z niemi połączonych 5; prócz tego urządzili akademicy śląscy pod kierownictwem Wydziału Czytelni zabawę narodową w Suchéj, która się jak najkorzystniéj powiodła i chlubę akademikom sprawiła.

Wartość biblioteki wynosi w przybliżeniu 1440 zlr., zaś wartość inwentarza, jako to: fortepianu, stołu, krzeseł, obrazów, przyborów teatralnych, szaf, lamp itd. 909 zlr. Majątek ten zaasekurowany jest w krakowskiém Tow. wzajemnych ubezp. od ognia.

Biblioteka Czytelni liczy obecnie 2462 dzieł. Wyjąwszy kilka dziełek, które Czytelnia własnym kosztem zakupiła, zawdzięcza księgozbiór jéj i coroczny nabytek swój szczodrym darom współrodaków i dobroczyńców zakrajowych i kilku członków śląskich., pomiędzy którymi wymieniony jest p. Mieczysław hr. Dzieduszycki, który nietylko od założenia Czytelni jest wiernym jéj członkiem, fundatorem, lecz nadto corocznie księgozbiór jéj darami wspiera i pomnaża.

Wydział, będąc z duszy duchem narodowym przejęty, nigdy w czynnościach swoich ani wrogiéj „niemieckości“, ani „moskwiczyzmowi“ powodować się nie dał, więc też rozwój téj Czytelni Ludowéj jako pracy na drodze oświaty ojczystéj wszystkich rodaków gorąco obchodzić powinien.

A przytoczyliśmy te wyjątki z sprawozdania na przykład i wzór jaki daje Cieszyn i jaka ztąd powinna być zachęta i otucha dla powstałego właśnie w Krakowie kasyna literacko-artystycznego.

Sprostowanie.

W artykule o teatrze w zeszłym numerze wkradły się rażące błędy, uważamy więc za konieczne zwrócić na nie uwagę publiczności — a mianowicie:

str.	14	szp.	1	wiersz	16	od	góry	zam.	Rocha,	czytaj	Kocha.
„	„	„	„	„	5	„	dołu	„	ulotną,	„	istotną.
„	„	„	2	„	9	„	góry	„	Vermouillet,	cz.	Vernouillet.
„	„	„	„	„	24	„	„	„	dto	„	dto.
„	15	„	1	„	16	„	dołu	„	takiego,	„	jakiego.
„	„	„	2	„	21	„	góry	„	wachające,	„	wachają.
„	„	„	„	„	26	„	„	„	publicystwo,	„	publicystów.

Dla Prenumeratorów zeszłorocznych dołącza się przy niniejszym numerze SPIS RZECZY.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.